

J. H. Rosny.

# Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

6

Najdziwniejszym wszakże z całego ich obecnego życia był stosunek do Walentyny de Varsennes.

W czasie wybuchu wojny młoda panna przebywała już od lat trzech w domu pani Givreuse.

Dawniej było to zupełne dziecko.

Podróże, namiętnie lubiane, zajmowały wówczas umysł Piotra Givreuse.

Zaledwie na dwa miesiące przed wojną jąta się rozwijać w nim miłość ku pięknej pupilce matki. Miłość ta pozostała nieujawnioną.

Piotr uważał, że na żadną przelotną miłość nie ma w tym wypadku miejsca.

Walentyna była gościem w domu Givreuse'ów, a Piotr umiał szanować prawa gościnności.

Miłość ta mogła jedno tylko mieć zakończenie: wspólne życie „na złą i dobrą dolę”. Wszystko inne było godnem potępienia. Piotr czekał aby czas mocniej określił wzajemne ich uczucia i wyjaśnił sytuację.

W chwili wybuchu wojny młody Givreuse nie wątpił już o sobie. Nie mógł się tylko zorientować w uczuciach Walentyny. Ona sama zresztą nie zdawała sobie z nich sprawy.

To młode dziewczę nie miało duszy prostej. Jej niedoświadczenie było więcej skomplikowanym, aniżeli doświadczenie wielu innych osób.

Walentyna czuła wszakże żywą sympatię dla Piotra. Był to jedyny mężczyzna, który pojawił się w jej snach i marzeniach.

W dniu rozłąki zbyt dużo ciemnych chmur przesłaniało przyszłość. Kiedy się żegnali wstrząsnęło nimi coś, jak objawienie. Ale nie wyrazili uczuć swoich słowami.

Obaj młodzi żołnierze zachowali niezatarte wspomnienie tej chwili pożegnania.

Kiedy ujrzeli znowu Walentynę, było im tak, jak gdyby zmartwychwstali. A każdy z nich wiedział, że tamten odniósł to samo wrażenie.

Nie odczuwali jednak z tego powodu żadnej zazdrości. Byli bardzo dalecy od tego, aby jeden drugiego miał uważać za rywala.

Taki stan duszy młodzieńców nie wpłynął wprawdzie na ich osobiste uczucia, ale musiał odbić się na postępowaniu z Walentyną.

Kochali w milczeniu, skrycie.

Nie widząc wyjścia z tego błędnego koła, uważali, że muszą kryć się ze swoją miłością.

Ta nowość sytuacji zbijała z tropu dziewczynę. Czasem ogarniało ją głuche przygnębienie. Niekiedy wstyd jakiś zalewał duszę, wstyd graniczący z ogromnem zdziwieniem i z ciekawością gorącą a smutną.

Wstrząsająca chwila pożegnania, nagle rozświetlenie tajemnicy dwóch serc, były to najpromienniejsze wspomnienia w życiu Walentyny.

Wokół nich snuła się subtelna sieć jej rojeń.

W czasie nieobecności Piotra miłość przysła cicha, oczom ludzkim niewidzialna, jak gwiazdeczki wiosennych kwiatów gdzieś w głębi boru. Mieszały się z tem kochaniem wszystkie niepokoje i cierpienia wojny, ale jednocześnie soków żywotnych dodawały mu te siły niezniszczalne, które budują i odbudowują.

Od dnia powrotu, z tymi pierwiastkami, zwykłymi ziemskimi, spletały się inne, niejasne, nieokreślone, niepojęte.

Cała rzeczywistość otaczającego świata zdawała się być niepewną. A jednak miłość trwała, choć trwała w iście fantastyczny sposób.

Walentyna kochała tylko jednego człowieka: „tego który przed wojną mieszkał w zamku Givreuse i którego identyczność nie ulegała żadnej wątpliwości”.

Ale jak go odróżnić od tamtego?

Ilekoć znalazła się sam na sam z tym, który objął rolę Piotra, zdawało się jej, że on jest jakiś niepodobny do samego siebie, że jest tylko częścią.

I to wrażenie zgodne było z rzeczywistością. Każdy z młodych ludzi z osobna nabierał wygładu niewykofczonego w szczegółach, jakby

dwuznacznego i stawał się daleko mniej podobny do dawnego Piotra Givreuse.

Walentyna napróżno usiłowała rozumować. Wszelka logika była w tym wypadku niewystarczająca, nędzną, fałszywą.

Pani Givreuse, chcąc przyspieszyć wyzdrowienie rannych, postanowiła wyjechać na wieś.

Powrócili do zamku Givreuse, gdzie tylko lewe skrzydło było mieszkalnem.

Pozostała część starej budowli stanowiła królestwo nietoperzy. Prócz nich gnieździły się tam w dziurach wrony i ptaki morskie. Mchy i dzikie bluszcz porastały ruiny. Wichry, wiejące z Atlantyku hulały wśród drzew karłowatej dębiny.

Ale lewe skrzydło urządzone było wygodnie i z komfortem. Kamień suchy, niespleśniały. Okna niby wielkie oczy zwracały się ku słońcu, które rodzi się tam na równinie, a w wodzie zamiera. Mury z tego samego granitu co skały nadmorskie, widniały niespekane, dzikie, odporne.

W tym to dzikim zakątku dwaj młodzi żołnierze i panna de Varsennes wiedli żywot szczególniejszy, zaledwie zdając sobie sprawę z niezwykłości położenia.

Wieczny szum fal, huk przypływu i odpływu, ryk wichrów morskich niosących wonie z dalekich ziem, noce długie, starożytne mury zamku, a w nich uwięzione wspomnienia o pokoleniach niegdyś tak bujnych, a tam w oddali szeroka rozległa pusta równina, wszystko to harmonizowało dziwnie z rzeczami tajemniczymi, nieodgadnionymi.

A miłość potężniała w sercu Piotra i Filipa, tem silniejszą była, im oni sami słabsi.

I kwitła w sercu Walentyny bolesna i trwożna, równie czysta jak srebrzysta fala, która w księżycowe noce zdawała wznosić swe niewyczerpane wody aż pod niebo.

Tymczasem metamorfoza, dokonywująca się w obu młodzieńcach, nie zatrzymała się w swoim biegu.

Intenzywnie odżywianie powracało im utracaną energię i wydatnie zwiększało ich gęstość, ponieważ ta zdumiewająca anomalia, którą zauważono w Gavres, istniała jeszcze ciągle.

W połowie grudnia ważyli po pięćdziesiąt pięć kilo, chociaż w tuszy ich nie dała się zauważyć żadna widoczna zmiana.

Twarz wyglądała już zupełnie normalnie. Policzki wypełniły się, ale cała postać pozostała szczupłą i smukłą.

Dokonywała się w nich także metamorfoza psychiczna albo raczej fizjologiczna. Odnosili się wprawdzie do siebie z jednakową ciągle tkliwością, jednakowoż nerwy ich stawały już mocniejszy opór w chwilach rozłąki.

Obecnie trzeba było już dość długiego czasu, aby z całą siłą wystąpiło osłabienie, lęk i poczucie samotności, wywołane nieobecnością jednego z nich.

Oczywiście skoro nie byli razem, to wkrótce odczuwali pewną niemoc, ale niemoc ta była do zniesienia dłużej nawet niż przez godzinę.

Dopiero po upływie tego czasu przechodziła w istotne cierpienie. Obaj młodzi ludzie niechętnie poddawali się tej próbie, ale uznawali jej konieczność.

Zresztą był ktoś, kto ich do tego poniekąd zmuszał.

Człowiek bystry przenikliwy, energiczny zainteresował się nimi i narzucał swoją wolę. Człowiekiem tym był stary lekarz chorób nerwowych, Bernard Savarre.

Sanatorium Savarra kryło się wśród skał nadmorskich, otoczone dokoła bezbrzeżnymi równinami. Pacjenci w tym zakładzie leczniczym zaliczali się do rzędu istot najdziwniejszych.

Sam doktor chociaż od lat dwudziestu pięciu obcował ciągle z neurastenikami i maniakami zachował umysł zdrowy i trzeźwy wbrew twierdzeniu, że rostrój nerwowy udziela się tak łatwo jak choroby zakaźne. Temu tajemniczemu wpływowi chorobowemu ulegali zresztą inni lekarze w zakładzie, jakoteż pielęgniarki i pielęgniarki.

Po doktorze Savarre spływały te wrażenia bez śladu. Sam nieraz dziwił się tej swojej odporności.

Był to duch wolny. O tyle oczywiście wolny, o ile pozwalała odwieczna ułomność natury ludzkiej.

Wierzeń religijnych nie zastępował żadnymi przesadami ludzi nauki. Nic nie wydawało mu się niepodobnem do wiary. Według niego absurd nie istniał.

— Czemże jest rozum jeśli nie krystalizacja minionych doświadczeń? Historia pokazuje nam, że gasły najpiękniejsze jego słońca. Jakże Platon wydaje się teraz niejasnym, a Arystoteles wprost politowania godnym. A przecież ci dwaj, były to mózgi niezrównane.

Jednakowoż przygoda Givreuse'ów oszołomiła doktora. Szukał podobnego wypadku w starodawnych tekstach z przed lat tysiąca. I nie znajdował.

Uparł się, aby dojść rdzenia tej najdziwniejszej w świecie przygody. Uważał, że będzie to rzeczą donioślejszą, aniżeli wszystkie znane i stwierdzone odkrycia i prawdy naukowe.

Przedewszystkiem zastanowiła go nienormalna waga obu młodzieńców. W chwili kiedy ich zobaczył, ważyli każdy niecałe czterdzieści pięć kilogramów.

Ciężar ten pozostawał w rażącej sprzeczności z objętością ich ciała.

Filip lub Piotr powinni byli stosownie do swego wzrostu i obecnej tuszy ważyć około siedmudziesiąt kilo.

A nie ulegało to żadnej wątpliwości, że waga Piotra przed odjazdem na front wynosiła siedmudziesiąt sześć kilo.

Savarre usilnie dopytywał się o miejsce, gdzie Piotr padł ranny. Neurolog zapisał sobie w pamięci, że ich znaleziono gdzieś indziej.

— Co pan o tem sądzi? — zapytał go pewnego razu lekarz Givreuse'ów, człowiek tak pewny i zaufany, że wtajemniczono go we wszystko.

— Nic jeszcze nie sędzę. Wszystko jest nieskończenie mgliste. A jednak czy możemy wskazać dużo prawd naukowych równie pewnych, jak jedność osobowości tych dwóch ludzi?

Tamten aż podskoczył. Spojrzał na Savarra z ukosa.

— Jedność? Więc pan sądzisz, że jeden i drugi jest Piotrem Givreuse?

— Nie widzę powodu, by o tem wątpić. Dowody są przekonywujące... Niech mnie pan zrozumie: ja nie twierdzę, że ci dwaj młodzieńcy są jednym człowiekiem, ale powiadam iż wszystko naprowadza mnie na myśl, że... obaj powstał z jednego i tego samego osobnika.

— Ależ kolego! — krzyknął doktor Morlay, bo jego zdrowy rozum buntował się — nie chcesz pan orzecież wysuwać przypuszczenia, że każdy z nich stanowi część Piotra?

— Właśnie to chciałem powiedzieć. Przebiegłem myślą wszystkie możliwe kombinacje. I pozostaje tylko rozdwojenie.

— To niepodobna!

— To sprzeciwia się tylko dotychczasowemu doświadczeniu ludzkiemu. Nikt nie widział nigdy aby z jednego człowieka, jednego lwa, jednej żaby, jednego kraba tworzyło się sposobem „bipartyty” dwóch ludzi dwa lwy, dwie żaby, dwie ryby, dwa kraby... A jednak nie przeszkadza to faktowi, że bipartyty jest najpierwotniejszym sposobem rozmnażania. Kto wie? Być może, iż w historii istot żywych był okres, kiedy te istoty mnożyły się nie inaczej, jak dzieląc się na dwoje. Nie zapominajmy, drogi przyjacielu, że ciało nasze jest zbiorem komórek, w których się ten właśnie proces podziału dokonuje.

— A zatem pan przypuszcza, że Piotr Givreuse...

Doktor Morlay nie dokończył bo hipoteza ta zdawała się wedle niego graniczyć z obłędem.

— Powiedziałem już, że niczego nie przypuszczam... Ograniczam się na razie do wyrażenia jednej z dwóch konkluzji, które mi podsuwa ułomna logika. Ta konkluzja, co prawda, już sama w sobie nie bardzo stoi na pewnych nogach, a stać się jeszcze chwiejniejszą jeżeli chcieć ją dokładnie określić. Bo trzeba by przypuścić, że nie tylko z każdej komórki w organizmie Piotra Givreuse powstały dwie komórki, ale że każda cząsteczka mineralna, czy pseudomineralna, podzieliła się w analogiczny sposób. Naprzykład, że z jednego włosa powstały dwa włosy... Jasne, że jest to potworny absurd. Ale absurd nie powinien nas powstrzymywać. Wykazuje to nam na każdym kroku historia wiedzy.

Umilkł. Żółtawa przedtem tarcza księżycy zaczerwieniła się i zanurzyła w fali. Słychać było niemiłe, złowieszcze hukanie sów.

— Gdyby to jednak był cud!

(Ciąg dalszy nastąpi).